



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### OD REDAKCYI.

W początku roku przyszłego  
drukować będziemy w piśmie naszym  
nową powieść

**MARYANA GAWALEWICZA**

pod tytułem

**BLUSZKA**

Obrazek z życia rodziny.

### U KOŃCA ROKU.

Koniec roku powinien być pewnego rodzaju spowiedzią z zamiarów, któreśmy tworzyli i czynów, które spełnionymi zostały. Rachunek z przeszłości pomaga przyszłości, bo jest nauką i przestroga, trzeba nam tylko mieć tę odwagę, abyśmy szczerze i niepowierzchownie rozpatrzyli czyny dokonane i oszacowali sobie plon, jaki nam przyniosły. Każdy niemal człowiek pragnie być uczciwym, pragnie szlachetny kierunek życiu swemu dawać, więc też ciężko mu jest przyznać się nawet przed sobą samym, że nie zawsze umiał być wytrzymały w dobrem — nie zawsze umiał wcielić w czyny swoje to, co stawiał sobie przed oczyma jako ideał piękna moralnego. A jednak przeszłość nasza powinna nam być tu nauczycielką i jest też nią zawsze, jeżeli tylko zdobędziemy się na odwagę szczerości; szlachetność natury ludzkiej utrudnia nam przecież tę spowiedź, dla czego ta cnota nie została nabytą, dla czego tamta wada

nie jest w nas zagłuszona? Tłumaczymy się przed duchem własnym z braku odwagi, z braku chęci szczerzej przyłożenia ręki do dzieła w pokonaniu trudności, które stawały nam na drodze, ale wiele może, kto mocno czegoś pragnie, kto szczerze czegoś żąda, trzeba tylko mieć uia podporę dla woli naszej przekonania mocne, a wtedy zamiar dobry stanie się choć w części jakimś czynem, i przyniesie życiu ten owoc zasługi, który się należy spełnionemu obowiązkowi, nie powierzchownej miłości enoty.

Lepiej jest życiu swojemu skromniejszy program nakreślić, niż wzniosłe ideały przed siebie rzucając, na połowie drogi do celu ustać i ręce opuścić. Dlatego to należy uia przy każdym zamiarze powziętym namyśleć się, jak do wykonania go przystąpić, jakimi siłami podpierać go trzeba? Jeżeli duch nasz jakiegoś skarbu dobra szczerze pragnie, zawsze on sobie środki zdobycia go znajdzie, ale potrzeba właśnie, abyśmy o tych środkach pomyśleli — abyśmy nakreślili sobie program działania, nie ukrywając przed sobą tych trudności różnych, jakie mogą nam drogę zabięgnąć. W piersi każdego niemal człowieka mieści się pragnienie jakiegoś zarobku moralnego, jakiejś zasługi, która by mu nietylko szacunek ludzki jednadała, ale zaspakajała zarazem ten wrodzony instykt szlachetny, który każe nam winy się wstydzić, a dobrym czynem przed duszą swoją chlubić.

Ale bez pracy nie ma nic: kto uia chybi trafi w drogę się puszcza, łatwo może zabłądzić i z celem pożądanym swoich się rozminąć, trzeba nam też najpierw wskazać drogę życia sobie nakreślić, a potem zbadać siły swoje, które są środkami powodzenia. Nieraz to bywa iż w chwilach szlachetnego uniesienia tak się sami zapalem własnych uczuć podniesiemy, że wszystko łatwym nam się do wykonania zdaje, ale trzeba tu jeszcze i tej podstawy realnej, któraby nam prawdziwy cel rzeczy wykazywała. Są natury bogatsze, wyższymi zdolnościami obdarowane, są uboższe, ale każdy człowiek tyle od Boga dostaje, aby uczciwie i użytecznie mógł życie przeżyć i obowiązki powołania swego wykonywać. Nie w tem jest też zasługa nasza co możemy, ale w tem czego dokonamy i zamiar dobry, który spełnionym nie został, żadnego dorobku moralnego nam nie przynosi, a przeciw-

nie szkodę wyrządza. Nie umieliśmy się zdobyć na to, aby przy szlachetnie pojętym ideale życia silnie stać i podstępnie się też zwodzimy, rzucając sobie na drogę życia promyki światła, gasnące nam prędko przed oczyma; jest to więc zmarnowana siła, jest to uludnie zaspokojone uczucie powinności.

Bywają chwile, w których czujemy, że duch nasz pragnie jakiegoś wypromienienia się szerszego — jakiegoś skarbu zdobytego sobie dobra i piękna, koniec roku wywołuje też często wzruszenia takie, bo widzimy jedną kartę życia naszego odwróconą, i stoimy niejako u wrót nowego istnienia. Aby nie błądzić, należy nam najpierw w obowiązkach, w powinnościach naszych dobrze, nie powierzchownie się rozpatrzeć i oszacować sobie dokładnie to, co tu jest wyższem i droższem, że przecież nie zawsze tak czynimy, straconemi bywają nieraz wartości drogocenne dla zdobycia sobie drobnotki, mało znaczącej w gruncie. Jeżeli przecież duch nasz zapragnął szczerze i prawdziwie jakiegoś piękna szlachetnego, jakiegoś zarobku enoty, trzeba nam najpierw pytanie to sobie postawić, na podstawie jakich środków dążyć do niego będzie? Kto wirowi życia unosić się pozwoli i planu drogi swój nie nakreśli, kto wrażeńiami żyjąc nie opiera się przedewszystkiem na stałej podstawie przekonań, ten nigdy pewnym być nie może, w którą stronę uniesie go prąd życia.

Człowiek zapracować sobie musi na wszelkie dobro, więc i na wszelką cnotę, na wszelką siłę i moc ducha; nie mylił się też poeta, kładąc w usta Zeusa, to jest Boga, te słowa wyrzeczone do wielkiego śmiertelnika, Herkulesa: „Nie wypileś boskości z nektarów moich zdroj, ale nektar ten wzięła boska moc siły twojej!“. Bóg nam dał zdolność zdobywania sobie skarbów dobra i mądrości, i ta też wolna wola nasza stanowi o zasłudze; rok każdy powinien nam coś tu przynieść, coś przyłożyć pod karą ujęcia nam czegoś, bo życie nigdy nieruchomo nie stoi. Szczęście nie mieści się też bynajmniej w tem, co nam los przyniesie, ale co sobie sami zdobędziemy w pracy, której zasługa jest nam wynagrodzeniem za poniesione trudy, zapłatą za rozumne pokierowanie życia.

Rok nowy stanowi pewnego rodzaju erę w ży-



ciu naszym; ludzie wieszają sobie, że dożyli tej chwili, a w życzeniach wzajemnie sobie składanych określają pragnienia swoje, a jest ich tysiące, tak jak zadań pracy, obowiązków naszych, i obraz to jest poniekąd tego, co człowiek pragnie otrzymać, aby zadowolonym się uczuł. Czy przecie nie kryje się tu niebezpieczeństwo pewne w tych przez fantazję naszą tworzonych obrazach szczęśliwości? Linia, jaką skreślamy sobie między pragnieniem naszym a tem, co życie dać nam może, jest nietylko rzeczą bardzo ważną dla szczęścia naszego, ale podnosi lub obniża poziom nasz moralny, i dlatego to należy nam być ostrożnymi w snuciu obrazów szczęśliwości, bo ideał to jest, który stawiamy sobie przed oczyma i do którego w pożądaniach naszych wyciągamy ramiona. Trzeba nam pewien budżet szczęścia sobie zrobić, aby wiedzieć, czego od życia pragnąć możemy, a skupiać siły nasze, aby starczyły nam w pracy osiągnięcia celu, jaki postawiliśmy przed sobą.

Są wprawdzie ideały szczęścia dalekie, dalekie, które nie od razu mogą nam zbiegnąć w ramiona, ale jeżeli to są rzeczy święte jak obowiązek, dążenie do nich powinno być pojętem jako cnota, a wtedy trzeba nam sobie powiedzieć, że ziarnko do ziarnka, tworzy miarkę i cicho, spokojnie odrabiać pracę swoją. Jeżeli, na przykład, podróżny ma sto mil drogi przed sobą, należy mu nie zapominać, że przestrzeń ta daleka, zmniejszać się będzie codzień przez ilość kroków, które ujdzie. Ewangelista naucza nas, że miłość jest cierpliwa, że miłość jest wytrwała, więc ten, kto kocha mocno, nigdy nie powie, że się czuje już zmęczonym, i każdy czyn swego życia wciela myśl, która jest przewodnikiem światłem jego życia.

M. Ilnicka.

## Noc pasterzy.

Słońce zaszło z wielką jasnością dnia tego, mrok spływał bardzo powoli i lekkim fioletem zabarwiając wzgórza skaliste, silniejsze cienie w wadłach kładąc, rozlał się po ziemi całej.

Mrok—cisza!..

Na piaszczystych wydmach Judei majaceją wiotkie kolumny palm z rozpostartymi baldachimami swych koron, tu i tam czernieją wyżyny skał nagich, na łagodniejszych wzgórz stokach marzą drzewa oliwne, niżej uprawne pola srebrzą się ścierniskiem białym po zbożach żętych.

Na tem ściernisku w oddaleniu od drzew i skał rozłożyli się pasterze pilnujący powierzonych sobie stada. Przewodniczył tym pachołotem Symon, najstarszy z nich, bo już dobiegał pełnych lat młodzieńczych, gdy towarzysze jego zaledwie wychodzili z dzieciństwa a najmłodszy z nich nawet dziesięciu lat wieku nie liczył. Na czole jednak wyrostków znać było smutek i zgnębienie—nie lekką snadź służbę mieli. Niech wołki krnąbrne na obcy łan zajdą, niech dziki zwierz zdradziecko owieczkę białą pochwyli, a kij właściciela stada wszystkie wnet żebra policzy w tych ciałach wychudłych.

Lecz dziś nie trudną była rola strażnicza: Nieśporne zwykle stadko nie rozchodziło się po polu, by świeższej poszukać trawy lub ziół pachnących; nie kryło się za wzgórz, nie zabiegało w doliny, gdzie zwierz mógł je chwycić lub inna przygoda spotkać. Krowy i woły uparte ułożyły się cicho na ściernisku, potulne owieczki, białe jak kulki śniegu, to czarne, jak grudki zwilżonej ziemi, zbite w gromadkę jedną układały się niedaleko pasterzy, stróżliwe psy nawet nie usiadły na czatach z nadstawionymi uszami, lecz zbliżyły się cicho do stóp swych władców nieletnich i przyległy koło nich.

Mrok coraz gęstszy się stawał, grube cienie słały się do koła, pastuszkowie jednak nie zapalali ognisk na polach, najmłodszy tylko z nich przyczołgał się do bliższego towarzysza i szepnął:

— Czy ty nie czujesz nic?

— A ty?—odpowiedział szeptem pytany.

— Mnie straszno!..

Inni zasłyszawszy szept cichej gawędy, zbliżyli się do rozmawiających.

— Dobrze, rzucił z nich jeden, że któryś z was odezwać się ośmielił. Może nam raźniej będzie, gdy jeden drugiego głos posłyszysz, bo taka cisza straszna zapanowała, że zagłosny wydawał się stuk mojego serca.

— Prawda?

— Prawda?—rzekło kilku razem.

— I wyście to spostrzegli?.. A — lżej mi!.. — odezwał się z kolei czwarty.

Mówili szeptem, jakby się lekali czegoś, lecz czego—nie wiedzieli sami.

— Powiem wam otwarcie — szepnął Symon, że już od dawna odezwać się chciałem, lecz wciąż mi się zdawało, że nie będę umiał głosu do tego dziwnego milczenia zastosować, i że on, jak grom zagrzmi w tej ciszy i przerazi was i stado krzykiem ogromnym.

— Tak, tak — i mnie się to samo wydawało, zawołał szeptem jeden.

— I mnie —

— I mnie!

— Dla tego i ja milczałem.

— I ja dla tego —

— I ja!

— Mnie zmusił strach do odezwania się—szepnął najmłodszy, który najpierwszy przyczołgał się i rzekł: „Straszno mi?”

— Czy ty pamiętasz, Symonie, ty, który wśród nas najstarszy jesteś, choć jedną noc taką?.. spytał do lat Symona wiekiem najbliższy.

— Nie—nie pamiętam!

— Co za cisza! co za spokój niezwykły!.. Ta palma, stojąca hen — tam na wydmie piaszczystej, zawsze miała listki ruchome, bo wiatr od morza bieży wciąż górą i, choć na chwilę krótka, potracić niemi musi. Od kiedy słońce zaszło, od kiedy mrok zapadł, na jedno mgwienie powieki nie ruszczałem z niej swych oczu. I czy wiesz? Nie drgnęła ani razu, jak ani razu nie zaszumiały drzewa oliwne, stojące na wiatrów przelocie.

— To nie, że palma na takiej wyżynie nieruchomie stoj — szepnął Symon; to nie, że dalekie gdzieś morze usnęło, że gaje oliwne zwykłym szelstem nie szumią — ale gdzie się podziały zgrzytania świerszczów polnych, szmer pajaków przechadzających się wśród ścierniska, zwykły gwar owadów o tak spóźnionej wieczorem godzinie? — Czy to my pierwszą noc śpiemy na polu, czy to po raz pierwszy milczenia jesteśmy świadkami! A przecie — choć wiatr spał, choć nie drgnął nawet liść lekliwej osiny — cichy szelest, pelzających wśród suchych traw owadów, nie umilkł na chwilę. A teraz?.. Pochylił się ku ziemi — wytyż ucho!

— Czy słyszysz co?—zapytał po chwili.

— Nie!

— I ja nie!

— Cisza!

— Ale jaka—jakby śmierć przeszła.

Mród przebiegł po ciele pachołat, ruchem instyktownym przytulili się do siebie przerażeni ogromnem milczeniem świata.

— A jaki bezruch!—szepnął Symon. Psy między łapy przeanie ułożyły lby swoje, żaden się z nich nie ruszy, by stado obiedz kołem, na czatach usiąść w oddaleniu i warczeniem ostrzedz o grożącym niebezpieczeństwie. Ale co dziwniejsza, to ten bezduszny spokój stada. Czy słyszycie, żeby wół który przeżuwał polkniętą strawę? czy choć jednego zwierzęcia pierś westchnie? Niebywały to sen jakiś!..

— Prawda! — żaden wół nie przeżuwa strawy.

— Żadna zwierzęcia pierś nie wdycha.

— Nie słyhać nawet szmeru wchłaniania powietrza.

— Okropna noc!

— Okropna noc!

— Okropna!..

— Mnie straszno! — szepnął znów najmłodszy, przytulając się do piersi Symona.

Siedzieli na małym wzniesieniu pola, które dalej biegło już równą płaszczyzną, jednym pa-

sem łanów dotykając ścian skalnych, drugim wzgórz, na których rosły drzewa oliwne, reszta ginęła w pomroce fioletowych cieniów, kończąc się u wadłówek i wydm piaszczystych. O kilka kroków przed pasterzami nieruchome spoczywało stadko, przerażające ich milczeniem swoim; daremnie nasłuchiwali, śpiących zwierząt nawet oddech zwyczajny niedolatywał do uszu. Jeden ze śmielszych, podrażniony tą ciszą niebywałą, posunął się po ściernisku do psa i kopnął go nogą w żebra. Ale pies nie poruszył się, nie zaskowyczał. Choć uderzenie było potężne mały oprawca nie posłyszał odgłosu żadnego, jaki zwykle przy silnem kopnięciu słyszeć się daje. I ogarnął go strach ogromny i wstyd za tę bezmyślną chęć zadania bólu zwierzęciu; czuł, że podłość uczynił, przynajmniej w tej chwili niepojętej a uroczyściej ciszy — podłością to mu się wydało. Zbliżył się znów do swoich cichy i zasromany w duchu i usiadł opodal, nie mogąc pokonać uczucia lęku z czynu dokonanego.

Zkąd to? dla czego?

Nie wiedział.

Nieraz zza muru kamieniem cisnął w przechodnia, podbił nogę kalece i nie czuł wyrzutów sumienia. Teraz miał ogień w twarzy, na czole duże krople zimnego potu.

Niezwykła to noc była i ciemności dziwną miały przezroczystość w sobie. Na złotawem postaniu ścierniska doskonale rysowały się kontury spoczywających wołów i krów i czarne to białe owiec gromadki; wiotki słup palmy, który daleko na wzgórzu piaszczystem wyrastał, odstawał ostro od fioletowego tła nieba, od pnia do szczytu owity wązkim paskiem światła, niby aureolą splecioną z blasków niewidzialnego księżyca. Głębokie cienie w gajach oliwnych nie przeskadzały różnic postaci drzew, przestrzeń pomiędzy niebem a ziemią zdawała się być wypełnioną kryształem ciemnym, w którym łamały się światła niewidzialne, dziwną przezroczystością powietrza nadając. Siedzący na wzgórzach pasterze widzieli się dobrze, choć był czas nocy bezksiężycowych—i gdyby nie to milczenie, nie ta cisza ogromna—popłynąłby może gwar wesolej rozmowy lub śpiew. Lecz niepojęte zjawisko zawiązało im usta, niewytłumaczona trwoga nie pozwoliła w szmer głośniejszy uderzyć.

Nagle, niedaleko od nich, zarysował się cień. Pachołeta zerwały się i przytuliły do siebie, jakby, w danym wypadku, jeden u drugiego ratunku chciał szukać.

— Kto tam?—odezwał się Symon.

Odpowiedzi nie było.

— Może zbój!—szepnął jeden z wyrostków.

— Duch może!—zadrzał jęklawie głos inny.

Czarny cień podchodził powoli—pastuszkowie byli bliscy ucieczki.

— Sa tu!—wyszeptał jeden z nich do psów—lecz psy się nie ruszyły.

— Kto jesteś i czego chcesz? — nabierając odwagi, odezwał się znów Symon.

— Szukam śmierci—cień odpowiedział.

— Nikodem! — odezwało się naraz głosów cztery.

Zbliżyli się szybko do człowieka, którego Nikodemem nazwali.

— Przelekleście się — rzucił przybyły.

— Co robisz ty tu, tak daleko od domu pana swego?—spytał Symon.

Śmiech nagły, suchy wypadł z piersi nikodemowej. Pasterze drgnęli, zdawało im się, że echa wszystkie wrzasną... ale śmiech znikł, nie znalazłszy odgłosu nigdzie. I stokroć straszniejszą wydała im się ta cisza nocy, której nie, nawet dziki, suchy śmiech tego człowieka zamącić nie mógł.

— Tak—daleko od domu pana swego jestem—powtórzył Nikodem. — Ha! pozwolenia on mi nie dał—jam od progów komnat jego sam odszedł. Gdy wrócę—spotka mnie kara pleśni, gdy wrócić nie zechcę—odnajdą mnie posłuszni wystanice, czujne psy wytropią i pójdę pod pręgierz.

Ujął się za czoło.

— Niewolnik!—jęknął z rozpaczą.

— A któż z nas wolny? — szepnął Symon głosem stłumionym — czy wielu takich znajdziesz? Wolnych jest garstka tylko, lecz trzeba urodzić się



wolnym! Lecz to nie nam, Nikodemie, ani twoim ni naszym dzieciom w udziale padnie. My i kobieta nie znamy wolności,—bić i zabić nas można, sprzedać i kupić. W łonie matki już płód nasz przeklęty, przeklęty w ziemi nasz trup. Nie nie zmieni porządku świata ustanowionego od wieków—na wieki!

— Nie nie zmieni—wyszeptał głucho Nikodem.

— Lecz cóż się tobie stało? Czy stłukłeś może wazę etruską, czy może w łaźni go myjąc, paznogciem zadrasnąłeś pieszczone patrycyusza ciało? Co ci się przytrafiło, Nikodemie?

Syn niewolnicy, sluga Antinousa—poruszył się.

— Waza etruska. Tak! ale nie ja ją rozbił.

Wymawiając te słowa drzeć zaczął, blade usta skrzywiły się do płaczu, z piersi tłumiony jęk wypadł.

— A!—rzucił Symon—sam Antinous szkodę sobie wyrządził, a gniew swój spędził na ciebie. Cóż chcesz—wina zawsze jest przy nas. Mój ojciec zginął pod różgami okrutnego Szamana, że śmiał się wypierać winy niepopelnionej. Gdy wił się i ryczał z bólu, inni, jak on niewolnicy, śmieli się, bo śmiać się kazano. Nie ulitował się nikt ni nad nim ni nademną, który ze skomleniem małego szczeniaka garnął się już do trupa. Kazano precz pójść, a gdym kroku nie mógł zrobić, wyrzucono za ogrodzenie domu, przyłożeniem pięści upamiętniając ten dzień straszny. No—ale jak tam było z tą wazą etruską?

— Rozbiła ją—Mira...

— Ta, ta najpiękniejsza z niewolnic Antinousa?

— Tak—szepnął Nikodem—ona, ten kwiat uszczknięty u podnóża Libanu, przez Antinousa za dziesięć talentów kupiony.

— Nie nie rozumiem—rzucił pasterz.—Dlaczegoż ty rozpaczasz?

— Za droga była waza, za wielki Antinousa gniew. Rzucił się na Mirę z podniesioną ręką, ale nim policzek na pobladłej twarzy spoczął, dłoń moja zatrzymała cios straszny.

— A cóż ci do tego było, niewolniku? — przerwał Symon.

— Kochałem ją—szepnął Nikodem.

— Miałeś prawo?

— I byłem kochany...

— Pozwolił-że na to Antinous?

— Zbliżyła nas wspólna niedola.

— I dla tegoś popełnił czyn karygodny?

— Jam do nogi mu padł i błagał o przebaczenie Mirze. Za oszczędzenie jej chwilę bólu, obiecywałem mu, za całość jego życia i mienia—własne oddać życie!..

— Cha—cha—cha!—zaśmiał się pasterz.—Ofiarowałeś to, co było nie twojem, to, co musiałbyś zawsze uczynić. I darowałeś ci Antinous to nowe zuchwałstwo?

— Kazał pod pręgierz wziąć... Mirę.

— Co?—zawołał pasterz, rozszerzając przerażone żrenice.

— Wiedział, że to mi będzie karą kar, męką mąk.

— I poszła?—zapytał Symon.

— Poszła—ale wprzód z jej białej szyi jedwabny sznur zdjęli, na którym powiesić się chciała; poszła... i białe jej plecy zrysuje bicz rzemienny; poszła—prowadzona przez niewolników do mnie podobnych. Gdy drzwi się zamknęły za nią, za nim i za oprawcami, jeden z wysłańców Antinousa rzekł do mnie. Rozkazano, byś stał tu w proggu i wejścia pilnował, ja zaś ci radzę—dodał—być ucho przyłożył do drzwi. Jeśli posłyszysz gwizd pletni, pomyśl o białych Miry ramionach.

— I stanąłeś? i słyszałeś gwizd pletni!—zawołał Symon.

Nikodem zatulił uszy, oczy przymknął i zachwiał się połową swej postaci.

— Nie—nie—jęknął.—Nad siły to było moje, nad siły!.. A ten doradca śmiał się, wyciągniętą ręką wskazując na próg drzwi przeklętych. Litości nie miał nademną on nawet.

I zawył jak pies, tarzając się w prochu ziemi.

— Ja nie znam wypadku—szepnął Symon—ażeby w czymkolwiek bądź sercu niewolnik litość wzbudził. Nie narodził się ten jeszcze, któryby cierpiących pocieszył i rzucił im dar szczęścia.

A gdy tak mówił, gdy głuchy płacz Nikodema rozbrzmiewał jękiem wszystkich niewolników

świata i skargą milionów rozpląwał się w tej ciszy ogromnej: z głębin niebios czy z wnętrza ziemi, ze wschodu czy zachodu, z południa czy północy—powiały szelesty dziwne i zabrzmiały szept:

— „Błogosławieni ubodzy, błogosławieni ci, którzy cierpią!..“

— Słyszycie!—zawołał nagle Symon, zrywając się z ziemi.

— Dziwny wiatr powiał!..

— Wiatr tak nie szumi—odezwał się Symon.

— Błogosławiono ubogich i cierpiących.

— Słyszałem głos!..

— Słyszałem słowa!..

— Tak, tak—słowa i głos!

I zdziwieni wsłuchiwali się znów w ciszę zagłębia.

— Czy czujecie, jak nagle oliwy zapachły?

— To dziwne, kwiaty w zawiązku a płynie zapach oliw.

— Jeden gaj tylko drzew rych—tam—na stoku wzgórz stoi, a zapach taki, jakby lasy ziemi wszystkiej białe kwiaty rozwinęły naraz.

— Cudowna woń!

— Upajająca woń!

— Rozkoszna woń!

Nagle pośród błękitów zapaliła się gwiazda i łagodnym światłem swych promieni oblała ziemię całą. Na piaseczystej wydmie stojąca palma pochyliła się ku stronie wschodniej, zachwiały się drzewa oliwne śpiące dotąd na wzgórz stokach, a od morza wiatr powiał. I stado, nieruchomie leżące, poruszyło się i wstało na nogi, zgrzyt polnych świerszczów dał się słyszeć, i szmer pajaków przechadzających się wśród ścierniska i chór owadów brzęknął nagle. Rozległ się ryk wołów i radośne kundłów skomlenie—i wzrastał gwar i rozbrzmiewał głosami stworzeń przeróżnych.

Pasterze i Nikodem stali w zdumieniu wielkiem i rozwartemi szeroko oczyma patrzyli na gwiazdę dziwną, nie widzianą dotąd, i słuchali głosów budzącego się nagle świata. A zewsząd dolatywały krów ryki, drzące beczenia owiec, radośny psów skowyt, gwar ludzki, a gaje i doliny zadzwoniły ptaków pieśniami. I zdjął ich strach przecucia cudu wielkiego, który objawiał się w owym gwarze weselnym świata i tej gwieździe pośrodku nieba utkwionej.

Wtem szum wielki powietrzem trącił—i anił srebrzysty zleciał!..

A gdy pasterze, olśnieni blaskiem wysłańca bożego, zadrżeli—zbliżył się do nich i rzekł:

— Nie bójcie się!... zwiastuję wam nowinę dobrą; bo oto narodził się Zbawca świata, marzenie wieków, cierpiących dusz radość. Chodźcie—zmezczeni życiem, niedolą złamani, pokłon oddać Dzieciątku Bożemu!..—Zbliża się królestwo wasze. Wywyższony poniżony będzie, maluczki podniesiony—taka jest wola Króla królów! A oto znak: znajdziecie Niemowlątko uwinione w pieluchy, leżące w żłobie.

I anioł znikł a poruszyła się gwiazda złota na niebie i wiodła pasterzy do miasta dawidowego, które zwa Bethlejem. Z nimi Nikodem szedł, wzruszony do głębi duszy swej niewolniczej nowiną wielką.

— Co nam rzekł ten duch biały?—szeptał, idąc...—Zbawienie! radość!..—Czy nie pomieszały się nam zmysły?...—Lecz biegli, gnani niepojętą siłą jakąś, aż oto drogę im przeciął tabór wielki. Na wielbłądach objuczonych naczyniami ze złota i srebra jechali królowie Wschodu. Nie pytali o drogę, bo gwiazda wiodła ich, aż zatrzymała się nad strzechą ubogiej stajenki, gdzie spoczywało Dziecię Święte. Z wnętrza bił blask ogromny, śpiew kołysanki sennej, którą nad żłobkiem synaczka nuciła Maryja, łączył się pieśnią duchów niewidzialnych.

Nikodem runął na klęczki i do Dziecięcia ramiona wyciągnął—a Dziecię uśmiechnęło się do niego. Ten uśmiech niewymowną rozkoszą wypełnił pierś niewolnika. Powstał i biegł do domu Antinousa, nie lękając się już śmierci ni cięć pręgierza, pobiegli i pasterze zwiastując spotkaniem wszystkim nowinę dobrą.

W otoczeniu murów stał dom patrycyusza, wejścia do wnętrza broniły wierzeje z drzewa cedro-

wego robione. Nikodem znalazł wszystkie przejścia tajne, przesunął się, jak cień, pod murem, dotarł do furty, skoczył i przez brukowany dziedziniec biegł do mieszkania Antinousa.

Cóżto?

Otwarte drzwi wszystkie, w izbie dla niewolników przeznaczonej nikogo nie było. Cisza panowała w domu całym, tylko posagi bogów rzymskich, kute z marmuru, ozdobione złotem, kryły się w cieniach palacu, jakby się bały światła przez górne okna do komnat wpadających.

— Kto tam?—odezwał się nagle głos jakiś zdadzający przestrasz.

Z cieniów się wychylił jeden z tych sług Antinousa, który Nikodemowi przyniósł okrutny rozkaz pana, a sam od siebie rzekł:—Jeśli posłyszysz gwiazd pletni—pomyśl o białych Miry ramionach

— To ty?—zawołał zdumiony!..

— Mira?—rzucił Nikodem.

Niewolnik podbiegł!..

— Strach!—strach!—strach!—szepnął rozglądając się trwoźnie!..

Twarz Nikodemu zbladła!..

— Umarła?—jęknął!..

— Kto myśli o śmierci tej nocy cudów?—odezwał się niewolnik.

— Więc?... co?... mów!

— Antinous miał pierwszy raz zadać—nagle błysnęła ta gwiazda i ręka Antinousa nieruchomie w powietrzu zawisała nad schylonemi plecyma niewolnicy.

Kazimierz Gliński.

# BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANĘ GROT. BĘCZKOWSKĄ

(Dokończenie).

— Niech pani dobrodziejka pójdzie odpocząć—prosił doktor, ze współczuciem przyglądając się Kamienieckiej. —Widok taki denerwuje, a choremu nie pomoże.

Nie chciała. Powiedziała sobie, że nie odstąpi go już ani na chwilę dopóki!..

Czy to być może, aby myśl o podobnym rozstaniu, nie doprowadziła i ją do utraty zmysłów?

Ha! Bóg osądził i wyrokiem Jego poddaje się bez szemrania. Tylko uprowadzić się ztąd nie da! Do ostatniej chwili będzie na niego patrzeć i nie lękała-by się pójść z nim tam, gdzie on pójdzie, do tego miejsca najeźźszego smutku i niedoli ludzkiej, kędy umarłe duchem istoty, błądzą bez celu, bez myśli, z rozdzierającym uśmiechem, który w sercu najzimniejszym litość obudzić potrafi.

Gorączkowo zaczęła rozpytywać felczera o szczegóły najdrobniejsze dotyczące chorych w szpitalu będących, nie zdejmując wzroku z leżącego Stanisława, który nie patrząc na nikogo, uśmiechał się głupowato, lub zakrywał sobie twarz koldrą.

Do pokoju chorego, nikt teraz nie wchodził. Lila drząc z trwogi przedewszystkiem o siebie samą, schroniła się do mieszkania matki, rozpaczając nad swoją dolą i okładając głowę plasterkami cytryny. Lorce nie pozwoliła ruszyć się od siebie. Zdawało jej się ciągle, że Stanisław wpada w furię, goni ją... zabije... Chwytała Lorkę za rękę, czepiała się jej sukni!.. byle jak najbliżej mieć ją przy sobie.

— Poślijcie po Wandę—wołała. —To taka że-lazna dziewczyna, ona sobie z nim najprędzej poradzi!.. Ja nie mogę, ja się boję!..

— Mamo!... —karcący wzrok Lorki zatrzymał się na twarzy matki z nietajonem już oburze-



niem.—Niech mama przynajmniej nie mówi o tem głośno... Jurek...

— Co mnie obchodzi Jurek w obec mojego nieszczęścia, co świat cały!...—wołała tonąc we łzach. Lorka ledwo oddychała ze zmęczenia.

Tak je zastał hrabia, przybywszy o piątej do narzeczonej.

— Jestem zdziwiony, przerażony...—powtarzał co chwila, dowiedziawszy się o nieszczęściu.

Istotnie wiadomość ta wstrząsnęła nim bardzo. Zakochany w sobie, lekający się wzruszeń wszelkich, które—mawiał zwykle—szkodzą zdrowiu, przemyślał długie nieraz godziny nad środkami zapobiegającymi chorobie i dającymi możność przedłużenia cennego życia jak najdłużej. I oto teraz, na parę miesięcy przed ślubem, taka historia!

Hum!... rzecz nieprzyjemna, wysoce nieprzyjemna, arcy niemila i mogąca pociągnąć za sobą następstwa bardzo również niemiłe... szeptał do siebie, biegnąc po pokoju, lub zatrzymując się przed narzeczoną.

— Pani mizernie bardzo wygląda, panno Eleonoro?—mówił, całując jej rękę jak lód zimne.

Wyschłe serce starego sybaryty i egoisty nie czuło żalu, patrząc na złamaną postać dziewczęcia, obliczał tylko, jakie szkody zmartwienie przyniosło jej urodzie.

Lila, trzeźwiąc się kroplami i eterem, załamywała rękę i wyciągała je ku hrabiemu.

— Namów ją pan, abyśmy się do hotelu przenieśli—prosiła.—Ona odpocznie, zapomni trochę, a ja—tego okropnego widoku nie będę już miała ciągle przed oczami! Ach, jakie nieszczęście, jakie nieszczęście!—Rozplakała się znowu.

Hrabia po namyśle zwrócił się do Lory.

— Jedźmy do hotelu p. Eleonoro—prosi.—I na mnie tutejsze powietrze źle wpływa, Mieszkanie, w którym choroba zagościła ma zaraz odrębny, ponury wygląd. Jedźmy!... Miej pani nieco względu i na twego pokornego sługę...

Lora oczy bardzo smutno podniosła na niego.

— Nie odejdę ztąd hrabio—rzekła słabym głosem.—Czy choć na chwilę mogłes przypuścić, że zostawiłabym tu babunię i rodzeństwo, wobec takiego strasznego nieszczęścia? Ojczulek, wiem, że już mnie nie potrzebuje—dodała tłumiąc łkanie—ale ja spokojniejsza, gdy jestem blisko niego...

Matka załamała rękę.

— Zgubisz nie tylko siebie ale i mnie swoim uporem,—zawołała z goryczą.—Sama mówisz, że ojcu na nic się przydać nie możemy... Czy nie widzisz co się ze mną dzieje. Jeżeli w tym domu noc przepędzę, umrę z pewnością albo oszaleję jak on.

Wybuchnęła łkaniem, wyrzutami, hrabia dziwny jakiś, chwiejny i zaniepokojony stał w obec nich niepewny.

Lora westchnęła ciężko. Snadź i myśli ciężkie przebiegły jej przez głowę, bo pochyliła ją bardzo nisko.

— Nie mogę zrobić tego dla ciebie mamó — rzekła po chwili głosem tak zmienionym, że aż hrabia się odwrócił i spojrzął na nią. Domyślałam się, że mamie o mnie chodzi... ale ja odejść ztąd nie mogę. Mama jest zdenerwowana, niezdrowa, więc i przetrachaj działa silniej.

Jurek przysunął się do siostry i położył głowę na jej kolanach.

— Nie odchodź od nas Loreciu — prosił szepem.—Nie odchodź!...

Hrabia już nie nalegał. Kręcił się, patrzył na drzwi, a ile razy loskot jaki usłyszał, dreszcz go przejmował.

Wkrótce potem odjechał.

— To także historia! — mówił do siebie, gdy już w szlafroku i z cygarem w ustach ułożył się wygodnie u siebie. — I ciekawa rzecz, co ja mam z tym fantem zrobić? Hum! To dopiero „casus“... Suchoty i pomieszanie zmysłów bywają podobno dziedziczne... Tom się ubrał...

Długo myślał, medytował i wdychał.

— Nie, nie mam szczęścia do tej rodziny! Lila — za co mówiąc nawiasem — szczerze jej wdzięczny jestem, kaprysami swemi odpędziła mnie od siebie w Paryżu — bo słodkie dziewczę, które jakby dla mnie na żonę stworzone w skutek

oto nieprzewidzianych okoliczności będę zmuszony—zawahał się... — Stanowczo się już nie ożenię z żadną — dodał po chwili.—Jestem przekonany, że tylko jedną Lorkę kochałem prawdziwie. Bardzo, bardzo mi żal! Zdesperowany jestem! Ale mieć w rodzinie waryata, ciągle się lękać, drzeć... A nużby ta dziedziczność fatalna... mogliśmy przecie mieć dzieci... Nie, nie! Dla przyszłości, dla dobra tych dzieci właśnie, powinieniem, choćby raniąc sobie serce, usunąć się...

Rozmyślał, kalkulował, wdychał do Lorci, do tego rajy o jakim marzył, gdy już żonę jego w stanie i — na tych rozmyślaniach, wieczór mu upłynął.

Borzycki tymczasem dążył do fabryki, gdzie pracowała Wanda. Im bliżej był celu, krok jego o cięższym się stawał. Jak on jej to powie i jak potrafi znieść widok boleści ukochanej dziewczyny?

— P. Kamieniecka, wyszła przed chwilą, skarżąc się na ból głowy — rzekła starsza panna odpowiadając Borzyckiemu. Uwolniłam ją wcześniej, chociaż jest robota — dodała strojąc minki.

Borzycki osłupiał.

— Czy dawno wyszła? — pyta po chwili i tak wygląda, że panny chichocząc, trącają się łokciami.

— Mówiłam już, że wyszła przed chwilą—odparła panna niechętnie—tłumacząc sobie na swój sposób, pomieszanie Borzyckiego.

Borzycki wybiegł szybko. Potrącony od przechodniów, którzy patrzyli na niego jak na waryata, biegł, z wyteżonym naprzód okiem. Dopiero koło kościoła na Lesznie ujrzał przed sobą płaszczyk popielaty i kapelusz z morową kokardą.

Kościół był otwarty: nieszpory skończyły się niedawno i babki kościelne zmieniały obrusy i kwiaty.

Wanda weszła do Świątyni Pańskiej. Miała dziś dzień bardzo przykry. Rozboleła ją głowa z niepokoju o Lorkę której twarz blada, stała jej ciągle przed oczami, miała kilka utarczek z panną Teofilą zarządzającą oddziałem kapeluszy, a i koleżanki zwykle niezbyt przyjaźnie usposobione, dziś zawiąły się na nią szczególnie. Wraciała smutna, ale smutku tego do domu zanieść nie chciała.

Kościół był prawie pusty. Chłód grobowy przejął ją... Obejrzała się trwożliwie i wzrok jej, pełen zdumienia, napotkał na bladą twarz Borzyckiego. Przeczucie czegoś strasznego powstrzymało prawie bicie jej serca. Nie miała siły przemówić.

Borzycki podszedł ku niej, ujął jej rękę i poprowadził ku ołtarzowi.

— Mów pan odrazu szepnęła.—Czytam w oczach pańskich, że... że stało się coś złego... Czy Lorcia?... Nie miała siły dokończyć.

— P. Eleonoro zostawiłem w pokoju pani zdrową i nieco uspokojoną — odparł nie puszczać jej ręki.—Panno Wando, pamiętaj pani o tem, że Bóg ciężko doświadcza tych, których wyposażył w szlachetną moc ducha; trzeba wytrwać i nie trzeba nadziei tracić. Wszystko w rękę Boga!...

— Możesz pan mówić — rzekła cicho, energicznym ruchem podnosząc głowę. Niepewność mężczy srodze...

Borzycki już się nie namyślał.

— Ojciec pani zachorował niebezpiecznie—zaczął mówić nie puszczać jej ręki która drżała w jego dłoni

— Ojczulek? Boże! Cóż się tam stało? Pan mi nie mówi wszystkiego... Co—co się stało?

Wpiła w Borzyckiego wzrok rozpaczliwych pytań pełen i zachwiała się..

Wytrwania zwyciężkiego panno Wando—prosił Borzycki—panowania nad boleścią, która może panią uczynić niezdolną do niesienia pociechy innym... Pomyśl pani o babce sędziwej, pomyśl o siostrze...

Wanda pochyliła głowę.

— Żyje?—spytała po chwili.

— Żyje — odparł smutno Borzycki. — Może lepiej byłoby, gdyby nie żył...

Nie potrzebował dodać nic więcej; wiedziała już wszystko. Pamięć jej zachowała niektóre z przeszłości szczegóły i to, co się teraz stało trwożyło ją oddawna, chociaż myśl tę odpędzała ze zgrozą.

Zakryła twarz rękami i pochyliła głowę niżej jeszcze. Borzycki widział: jak drżała i szczipła jej postać gięła się prawie pod wrażeniem odebranego ciosu.

Upłynęła długa chwila. Wanda podniosła głowę i wzrok jej padł na twarz cierpiącego Chrystusa, tak anielsko dobrą, anielsko spokojną w swoim wielkim majestacie boleści.

Patrzyła długo. Pierś jej oddychała coraz wolniej... łkania uspokoiły się.

W obliczu Zbawiciela utopiła wzrok pełen ufności, wiary i poddania.

Ustami modlić by się teraz nie potrafiła. Podniosła się z klęczek.

— Pójdźmy — rzekła szepem. Przy wyjściu raz jeszcze odwróciła się... Zdawało jej się, że z oczu Chrystusowych bije blask słoneczny, który ciemną głębię jej myśli rozprasza. Nie miała siły rozstać się z nim.

Borzycki ujął mocniej jej rękę.

— Babka i siostra potrzebują pani — szepnęła. Trzeba iść...

Nie opierała się. Na ulicy chwyciła całą pierś powietrze i zaczęła iść bardzo prędko. Borzycki, doświadczać uczucia przykrych bezsilności, patrzył z boleścią na mocującą się z bólem dziewczynę i zlorczył losowi. Jakże chętnie dla niej, byłby siebie poświęcił!

— Nie potrafię pocieszać w strapieniu, rzekł; — całując rękę Wandy gdy stanęła u drzwi mieszkania Kamienieckich. — Czas jedynie koi bóle i smutki. O jedno tylko proszę: pamiętaj pani, że masz we mnie przyjaciela, brata, który życie własne gotów w każdej chwili oddać dla was. Pamiętaj, że zdrowie twoje i spokój, dla otoczenia twego, niezbędnie są potrzebne. Niechaj cię Bóg wspomaga!

Odszedł, a ona stała z ręką na klamce opartą, z nowym jakimś uczuciem, które w piersi jej zrodziło się nagle. Ponad tłumem myśli czarnych, posępnych, barwą świetlaną zajaśniała myśl nadziei i otuchy, na której umysł zmęczony zatrzymał się z ulgą.

W chwilę potem, bardzo blada ale pozornie spokojna, stała przy łóżku ojca, który leżał cicho, z zamkniętymi oczami.

— Nie oddamy nigdzie ojczusia — szepnęła babce z energią w głosie a w oczach z wyrazem tklivosti nieopisaną.—Będziemy w domu leczyć i pilnować ojczusia...

Babka wyciągnęła ku niej rękę.

— Niech ci Bóg błogosławi, dziecko... — odszepnęła wnuczce.—Przeczuwałam, że ty... ty nie dopuścisz, aby on był tam... pomiędzy tymi nieszczęśliwymi...

Potok łez przerwał jej mowę.

Nazajutrz, słońce jakby urągając smutkowi i boleści, zajaśniało w całym blasku. Po nocy spędzonej bezsenności, Lora oczekiwała wizyty hrabiego.

— On to zrobi dla mnie... — szeptała do siebie rozgrzana jakąś myślą. — Ach, nigdy, nigdy nie dam mu powodu do niezadowolenia, będę mu wierną i kochającą do śmierci. Czuję, że już go kocham, skoro mi daje możność do uratowania ojczulka. Ten sławny specjalista parutki pomoże ojczusiowi... i—ach Boże! byle tylko hrabia przyszedł jak najprędzej...

Ranny kuryer bydgoski, unosił tymczasem na skrzydłach pary, hrabiego Zenona, daleko od narzeczonej.

Hrabia, lekając się dziedziczności, wyjechał do Berlina. Nie pożegnał narzeczonej, bo lękał się wzruszenia i spazmów pani Lili.

— Widocznie, było mi sądzonem, pozostać starym kawalerem... — myślał, ułożywszy się wygodnie w przedziale pierwszej klasy.

Słodka, dziwnie pociągająca twarz Lory stała mu jednak ciągle w pamięci.

On istotnie przywiązał się do niej i czuje, że tęsknić będzie.

Pociąg biegł szybko. Nowe wrażenia, skrepowanie pewne w podróży, obce twarze i widoki, zwróciły myśli jego gdzieindziej.



Gdy przyjechał do Berlina, myślał tylko o tem, jak się urządzi i czas przepędzi... Zimne serce staroego egoisty, lubiło poić się słodyczami kobiecych spojrzeń i uśmiechów, ale na głębsze uczucie zdobyć się nie potrafiło.

## VIII.

— Lorcju, błagam cię, przestań!

— Czemu najukochańsza? Czy zamknąć rachunek z życiem i odpocząć, może być rzeczą smutną lub przykrą? O siostrzyczko! Znadto, znadto czuję się już zmęczoną.

Wandzi drgnęły powieki. Przeciążone już były łzami, którym wszakże spływać na policzki nie pozwoliła.

Lorka we wpół leżącej postawie, spoczywała na wysoko ułożonych poduszkach w pokoju Wandy.

Przebyła zapalenie płuc i od tygodni kilku nie opuszczała łóżka. Suchoty rozwinęły się szybko; organizm poprzednio już trawiony gorączką i zakatarzone płuca straciły siłę odporną; — młode dziewczę krokiem szybkim zbliżało się do grobu.

— Wstydz się Lorcju — mówi z wyrzutem Wanda i pochyla twarz pobladałą, nad kapotką tulową, którą dżetem białym wyszywa. — Któż to chce w wieku twoim zamykać rachunek z życiem i mówi o zmęczeniu? A ja się tak cieszyłam, że Lorka moja zbudzi się dziś weselszą? Spałaś doskonale. Kaszel uspokoił się...

— Wandziu, jakaś ty jeszcze dziecinna. Dzień suchy, słoneczny, więc i mnie łżej nieco oddychać. Trzeba trzeźwo patrzeć na wszystko...

Lora mówiąc to, uśmiechnęła się smętnie i położyła wychudłą rękę na ramieniu Wandy.

— Zapomniałaś, że nie żyjemy w epoce złudzeń — szepnęła. — Dawniej podobno, suchotnicy umierali nieświadomi swojego stanu, tworząc plany rozległe na przyszłość... Dziś, rzecz inna. Któż to dziś, w jakiejkolwiek kwestyi, nosi przepaskę różową na oczach? Nie zgadzałoby się to z duchem czasu, który z chciwością niepokonaną, zdzierając złudzenia wszelkie, dąży naprzód...

Zakaszła się...

— To kwestya zapatrywań — odparła znekana Wanda.

— Zapewne. — Lora, przesunęła rękę po czole, jak gdyby rój myśli natrętnych spędzić chciała. — Wolałabym jednak, aby wrazenia pewne pozostały były w krainie odkryć niewyjaśnionych. Od pierwszego niemal kaszlu, z kilku kropli potu na czole, wysnuwałam już wnioski i wiedziałam co mnie czeka.

Wyciągnęła rękę po kubek z mlekiem. Wanda błagalnie spojrzała na nią.

— Nie męcz się rozmową. Znowu sprowadzisz pogorszenie — rzekła. — Przy rekonwalescencji, która jak twierdzi lekarz, bardzo pomyślnie postępuje...

Lorka rzuciła na siostrę zniechęcone spojrzenie. — Myślałam, żeś ty przynajmniej rozsądną i można mówić z tobą otwarcie — rzekła. — Przy mus, jaki przy mamie zadawać sobie muszę męczy mnie...

— Ale bo po co te myśli smutne kochanie moje? Trujesz nas i siebie — zawołała Wanda, rzucając robotę i czule obejmując siostrę.

— Skwitowałam już z wszelkich uciech i rozkoszy życiowych. Bez żalu... wierzę mi Wandziu. — Oparła głowę o ramię siostry i zadumała się.

— Nie wolno ci tak mówić — szepnęła Wanda. — Nie kochasz nas... Powinnaś wszelkimi siłami pragnąć wyzdrowienia i żyć dla nas.

— Kocham — odparła Lora z energią. — Może dlatego właśnie, że kocham, radabym ulżyć wam kłopotu. Powiedz mi Wandziu, na co takie jak ja stworzenie, potrzebne komu? Stoimy na przeciwnych krańcach siostrzyczko. W tobie, wychowanie rozwinęło energię, chęć do pracy, trzeźwość poglądów, ja — choć przekonaniemi do ciebie należę, przebalowawszy lat kilka życia, zgorzkniała, zawiedziona, wydélikacona, na nic bym się nie przydała. Praca byłaby mi ciężką, bo rozkoszy jakie ona daje, nie dano mi zakosztować zawczasu. Nic nie umiem... Za mąż nie wy-

szłabym skoro nawet mój sędziwy narzeczony uciekł ode mnie..

— Szczęśliwą jestem, że te uczynił — odparła Wanda — Ale że to było nikczemne; temu nawet mama nie przeczy, chociaż broniła go i chwaliła zwykle gorąco.

— Ludzie są ludźmi kochanie — rzekła poważnie Lora — Miałam sposobność poznać ich nieco i — nie mam już złudzeń Muszki, która świat cały ubóstwia i radaby prawie do serca go przycisnąć.

Była podrażniona. Wielkie jej oczy płonęły ogniem, na policzku wykwitł rumieniec niezdrowej ceglastej barwy.

— Lorcju, jeżeli rozmawiać będziesz, odejść od ciebie i poproszę mamę — zawołała Wanda całując siostrę.

Lorka usunęła się.

— Tak cię prosiłam abyś mnie nie całowała w usta — szepnęła. — Mam gorączkę... możesz się zarazić... Co zaś do rozmowy, mówić będę bo mi łżej wtedy... Nie broń mi tego Wandziu... Wiesz? Tam, w Dreźnie, dużo, dużo cierpiałam. I nie tylko w Dreźnie... Dawno już dawno noszę się z moim bólem, chociaż przyklepiłam sobie maskę wesołości do twarzy... — Zamknęła oczy. Ożywienie chwilowe minęło szybko. Widać było, że jest zmęczoną bardzo i głos z trudnością dobywa się z płuc zepsutych.

Wanda zwilżyła jej skronie wodą kolońską i podjęła znów robotę. U Lorcji pół omdlenia takie zjawiały się często.

Do pokoju, przez odsłonięte okno, wpadło wesołe słońce styczniowe. Rozpaliwszy miliony brylantowych iskier, na ośnieżonych szczytach drzew, musnęło pieszczotliwie jasną główkę chorej i pośliznęło się po twarzy bladej, wychudłej. Z ulicy dochodził gwar wesoły.

Niańki i bony z dziećmi, śpieszyły do ogrodu nacieszyć się słońcem, karety i dorożki wymijały się szybko... Kobiety zdrowe, wesołe, śpieszyły do sklepów po karnawałowe nowości... Ruch, wrzawa, ożywienie na twarzach, rumieniec zdrowia a w duszy spokój.

Wanda od kapotki ślubnej, którą wyszywała przeniosła wzrok na siostrę. Pomiędzy mlecznobiałe perełki dżetu, spadło też kilka... Wesoły promień słońca wywołał je nareszcie, aby sereu ścisniętemu ulżyły.

Patrząc teraz na leżącą w śnie gorączkowym Lorcję, z piętnem śmierci na czole a uśmiechem spokoju kłamliwego na ustach, przypomniała sobie różową twarzyczkę narzeczonej, która dziś zrana, oddając jej robotę z filuternym wdziękiem objaśniała deseń dżetowego wyszycia do kapotki poślubnej,

I Lorcja była taką. O! stokroć miłszą, piękniejszą! Tak niedawno jeszcze!

W myślach Wandy powstał chaos. Czula szum w uszach, gorąco w głowie... Mnóstwo pytań, na które odpowiedzi znaleźć nie mogła, krzyżowało się w rozprzężonym mózgu, budziło buitownicze myśli, zapalało w oczach złowrogie iskry. Jakaś chwila zła przyszła na nią.

Robotę odrzuciła od siebie, białe perełki rozsypały się po podłodze...

Objęła dłońmi płonąca głowę, w bezgranicznej rozpaczce broniąc się dziakiemu szalowi, który myśli jej zmacił.

Wciąż ona, ta Lorcja jej ukochana odejść wkrótce?... Tak. Ona to wie i wiedzą to już niemal wszyscy i nic, nikt uratować jej już nie może. Grób, smutek wieczny i wieczne tęskności. O! jaki ból!

Wanda, nie miała siły walczyć z ogarniającym ją wzruszeniem. Łkania, pierś jej rozrywały.

Po długiej chwili Lora zlekka otworzyła oczy. Błyszczały jak gwiazdy i moc w nich była słodyczy wielkiej.

— Wandziu, — szepnęła cicho, bardzo cicho. — czy wiesz o czem śniłam teraz?... Sen to był piękny, rozkoszny.

Bezwiednym ruchem wyciągnęła rękę, szukając szklanki z napojem, którym spalone gorączką usta odwilżyć musiała.

Wanda kubek z wodą emską do ust jej przysunęła. Lora z trudnością przełknęła napój, rękę jej przytem drżały i czoło świeciło potem.

Poruszyła kilkakrotnie ustami, nim powietrza zachwycić nieco zdołała.

— Wiesz? — szepce z uśmiechem, który dziwnie twarz jej zmienioną upiększył. — Śniłam, że wszyscy ludzie mieli jedno serce, takie wielkie, wielkie serce, w którym dużo miłości zmieścić się mogło. I do serca tego, nie trafiła nigdy zazdrość ani pycha, umiało przebaczyć... potrzeby i cierpienia innych odczuwać... wiodło ku prawdzie, dary miłości bogate rozrzucając w około. Dobre, kochające serce!... — kończyła z trudnością, spalonemi od gorączki ustami chwytając powietrze. Wzrok jej z natężeniem szukał czegoś w oddali... Nie widziała cicho łkającej Wandy, której rozpacz gwałtowna, rozplynęła się w łzy rezygnacyi i poddania.

— Świat ten piękny taki i ludzie mogliby być szczęśliwymi, gdyby chcieli... — zaszeptala znowu i poruszyła się niespokojnie. — Kiedyż ciocia Hala przyjedzie? — spytała po chwili gorączkowo. — Wandziu, czy myślisz, że ona zdąży jeszcze przybyć zanim ja...

Wanda, pochylała się ku niej.

— Bądź tego pewną, najdroższa — rzekła uzbierając się w męstwo. — Zabierze cię do Bielowic i czyste tamtejsze powietrze wróci ci zdrowie... Ojczulek pojedzie... i jemu tam lepiej będzie. Ciocia go tak kocha i nas wszystkich...

— Dobrze, już dobrze moja ty biedaczko — odparła, tuląc się do siostry Lora. — W każdym razie jednak, muszę cię o coś poprosić... Nie pozwól na to, aby mama odebrała Musię z pensyi. Niechaj i nadal pozostanie tam jako pensyonarka. Jakżem wdzięczna cioci Hali, że zawezwała do siebie Jurka. Jej anielskie serce wszelki ból ostłodzić potrafi. Jurek znajdzie tam prawdziwie kochające serce. Ale ty, ty moja ukochana? Kto skołataną twoją głowę do współczującej piersi przytuli. Babunia, czuję to, wkrótce za mną podąży, ojczulek... Zamilkła i zamknęła znów oczy.

Lila stanęła we drzwiach. Czy nie mogła byś zająć się przygotowaniem posiłku dla chorych? spytała niechętnie, mierzając Wandę spojrzeniem nienawistnym prawie. Wszystko na moją głowę zrzuciliście obie z babką...

Wanda, położyła palec na ustach i wskazała Lorcję. — przyjdę wkrótce do kuchni mamó — odparła łagodnie. Może Lorcja zaśnie...

Lila postąpiła kilka kroków i lekliwie spojrziała na Lorcję. Zaszła w niej zmiana gwałtowna, gdy oczy na twarzy chorej spoczęły.

— Lorko!... — szepnęła, złożywszy ręce jak do modlitwy. — Moje drogie, najmilsze dziecko!..

Porwała ramię Wandy i wstrząsnęła niem z dziwką jakąś passyą.

— Czy myślisz, czy przypuszczasz, że ona jest bardzo chora? — pyta, dzwoniąc zębami — powiedz, o, powiedz mi, że ona wyzdrowieje. albo że ten ten szkielet, który tu leży przed nami nie jest moją śliczną, ukochaną Lorcją?... Oool... Boże, Boże przedwieczny! — jęknęła, chwytając się za głowę. — Czemuż, czemuż ja modlić się nie umiem...

Wanda zerwała się szybko i ujęła matkę w objęcia.

— Ona słyszy mamó — szepnęła. Chciała wyprować matkę, Lila oparła się temu stanowczo.

— Nie odejść od mego aniołka... — szepnęła łzawo.

Chora poruszyła się.

— Wandziu, czy jesteś przy mnie? — spytała, przesuując rękę po koldrze.

Wanda pochylała się ku niej. — Jestem — szepnęła.

— To dobrze!.. Powiedz mi Wandziu, czy tobie życie dało już taką chwilę jasną, której wspomnienie zakłóć potrafi myśli najsmutniejsze w jeden krąg blasków świetlanych i w najcięższej, najboleśniejszej chwili, daje ci osłotę i ukojenie?... powiedz mi!..

Wanda milczała.

— A ja — ja miałam chwilę taką siostrzyczko — szepnęła i leciuchny rumieniec oblał jej twarz.

W awstydzeniu bezwiednym przykryła rzesami oczy rozmarzone i podobną była do kwiatu, który zwija listki drżące, gdy wietrzyk swawolny chce go technieniem swoim popieścić.

— Jaka ja byłam wtedy szczęśliwa!..



Uśmiechnęła się błogo i wyciągnęła rękę.  
— Daj mi kieliszek wina... — prosi Wandy. —  
Chcę być silną i zostać jeszcze z wami chociaż  
dni kilka...

Wie-z Wandziu? — mówi, zapominając o żądaniu i usuwając kieliszek z ręką Wandy niecierpliwie. — Chciałam mu dać wtedy gałązkę konwalii, ale — nie śmiałam. Cały mój kostyum „wiosny“ składał się z kwiatów wiosennych a on długo, długo patrzył na mnie. „Symbolem wiosny jest świeżość niepokalana...“ powiedział mi i prosił abym czystość i świeżość duszy, zachowała jak najdłużej... Nie widzieliśmy się potem i kilka, a gdyśmy się spotkali, o nie już nie pytał.

Stojąca u okna Lila zdrżała.

— O kim ona mówi? — szepnęła i podeszła do łóżka chorej. — Zostaw nas same... — rzekła takim tonem, że Wanda sprzeciwić się nie śmiała. Zabrała robotę i wyszła. Zanim jednak udała się do kuchni, stanęła przy oknie i czoło o zimną szybę wsparła.

Łzy zwolna toczyć się zaczęły po jej bladej twarzy. Gorycz, ból, ustąpiły miejsca łagodnemu smutkowi, któremu się nie opierała.

Do pokoju wszedł Borzycki.

— Jak to dobrze że panią tu zastaję... — rzekł, ujmując obie ręce Wandy. — Jakże nasza chora? Co te łzy znaczą? Miałoż by być gorzej?

— Nie! — odparła Wanda smutnie. — Zresztą, w takim stanie jak Lorci i polepszenie uciechy by nas nie mogło... Wiemy chyba, że kto płucą już wypluł, tego nawet cud, uratować nie może.

Zasłoniła twarz rękami, aby ukryć ból i łzy, których powstrzymać nie mogła.

Borzycki patrzył na nią z głębokim współczuciem. Potrzeba było istotnie hartu wielkiego, aby się pod tyłoma ciosami nie ugiąć. Jedno nieszczęście, gonilo drugie.

Wanda, przestała oczywiście chodzić do fabryki i brała robotę do domu. To jej dawało możność opiekowania się chorymi. Babka, niezdolną już była pomódz jej. Choroba syna i wnuczki, złamała ją i pognębiła ostatecznie. Wiek i cierpienie serca chroniczne, spowodziły osłabienie i biedna staruszka siadywała już teraz w pokoju syna lub wnuczki chorej, zobojetniała dziwnie, apatyczna z książką do nabożeństwa w rękach drżących i osłupieniem w oczach, które zwracały się często ku niebu z niemą jakąś prośbą.

Lila, uciekała od pokoju męża jak najdalej, a przy łóżku chorej, była wprost niemożliwą. Płacz, młodości, spazmy narzekania na los, były na porządku dziennym. Wanda traciła nieraz głowę, chcąc widok ten z przed oczu Lorci usunąć, tem więcej że Lora podczas choroby, usuwała się od matki niechętnie i nie lubiła mieć jej przy sobie.

Więc biedne dziewczę ugięło się nieledwie pod ciężarem wielorakich obowiązków.

Matka żądała wprawdzie, aby Muszkę z pensji odebrać, ale obie z Lorą oparły się temu stanowczo.

— Zabrać Muszkę teraz i przerwać jej naukę, to zamknąć dziecku drogę do zbudowania sobie przyszłości jakiejś, o której sama myśleć przecież musi — rzekła Lora stanowczo i matka ustąpić musiała, złość całą obracając przeciw Wandzie, którą i bez tego, miała ciągnąć wojnę w domu; Borzycki rozmyślał właśnie nad tem, patrząc na pochyloną postać Wandy i w głowie jego dojrzywał plan, z jakim wprawdzie nosił się już dawno, ale okoliczności nie pozwoliły wyjawić. Dziś wszakże, już się nie wahał. Z miłością, której ukrywać nie chciał dłużej, pochylił się ku Wandzi.

— Panno Wando — rzekł — odejmując jej delikatnie ręce od twarzy zapłakanej — powiedz mi pani, czy w sercu twojem tli jaka iskierka uczucia dla mnie? Kocham cię bardzo, bardzo głęboko i z duszy całej pragnę brzemień obowiązków twoich podjąć wspólnie z tobą. Będzie nam lżej ukończyć dzwigać je razem — nieprawdaż?

Wanda drgnęła gwałtownie. Sama nie potrafiła by uczuć swoich opisać. Radość zmieszana się z bólem okropnym, bo przypomniała sobie Lorcie, której marzenie dziewczęce i tyle skarbów serca zamknie wkrótce grób. Zdawało jej się świętokradztwem niemal mówić i myśleć teraz

o miłości, chociaż czuła to dobrze, że Borzycki jest jedynym człowiekiem, którego kocha i kochać będzie zawsze. A zresztą...

— Panie Michale — szepnęła podnosząc na niego swoje głębokie, poważne oczy — ja — ja mam za wiele tych obowiązków właśnie, abym spokojnie narzuciła je panu wraz z sobą. Pan wie najlepiej, że nim Jurek dorosnie, ja rodziną swoją opiekować się muszę i cały swój czas dla niej poświęcać. Podział byłby nierówny — Pan mi dajesz wiele, a ja...

Nie pozwolił jej dokończyć.

— Czyż można dać więcej nad to co pani mi dajesz? — zawołał gorąco. Przy tobie odnalazłem wiarę w dobroć i czystość serca kobiecego, ty, słodkim urokiem swoim, sama nie wiedząc o tem i bez mej wiedzy prawie, wyrwałaś z serca mego zielsko złe, które przez lat kilka rozrastało się tam swobodnie... — Nie chcę, nie mogę mówić jaśniej... ale — Wando moja, tobie zawdzięczam i tylko tobie, żem szacunek dla samego siebie odzyskać zdołał. Tyś sprawiła, że patrzę teraz na ciebie śmiało i czuję z dumą że przycisnąć cię mogę do serca, które aczkolwiek obłąkane chwilowo i cierpiało wiele, zostawiło dla ciebie kącik, który śmiało ofiarować ci może.

Był bardzo wzruszony.

— Ja posiadam bardzo nie wiele warunków do tak zwanej w świecie naszym „dobrej partii“ p. Wando — rzekł po chwili. — Mam atoli nadzieję; że przyszłość przy wspólnej pracy, będzie dla nas łaskawą. Mocni jesteśmy oboje i podźwigniemy obowiązki nasze z uśmiechem nadziei i wytrwania. — Z panją, niczego się lękać nie można... — dodał, całując ręce Wandy i patrząc na nią z miłością.

— Powiedz Wandziu: „jam twoja“... — szepnęła cicho z prośbą gorącą.

Wanda spojrzała mu w oczy swoim jasnym wzrokiem, który bynajmniej z miłością dla niego ukrywać się nie chciał.

— Lękam się, czy panu nie będzie za ciężko... — odszepnęła.

Drzwi otwarły się z trzaskiem, na progu stanęła Lila z obłąkanem wejrzeniem i twarzą trupio bladą.

Krew... krew... — zawołała wyciągając przed siebie ręce. — Moje dziecko, moje dziecko umiera... Ratujcie ją o Boże!

Wanda z Michałem rzucili się ku niej.

Umiera... — szepnęła wpijąc paznogie w ramię Wandy. — Krwotok, okropny krwotok; — za chwilę będzie... po wszystkim! Czy wy wiecie co to jest? A ja to dziecko tak kochałam... Nikogo, nikogo tylko tę moją Lorę... — szeptała bezprzytomnie, wlokąc się za Wandą i Michałem do łóżka Lorci. — Czemuż, czemuż ja nie umiem się modlić... zawołała z rozpaczą, widząc jak cienie śmierci kładą się zwolna na czole Lory. — Nie umiałam być matką i nie nauczyłam mnie modlić się... — powtarzała, odpychając Wandę, nieprzytomna z boleści, która raz w życiu zasklepione egoizmem jej serce dotknęła.

K O N I E C

## Z PARYŻA.

Otrzymańie przez kobietę krzyża Legii Honorowej jest rzeczą tak niepospolitą, że wiadomość o tem jak fakt ten przez publiczność francuską przyjętym został, ma ciekawą stronę swoją. Tą uczczoną jest znakomita malarka, Wirginia Demont, córka niepospolitego też artysty pendzla, Juliusza Breton, którego talent odziedziczyła. Panie francuzkie zapragnęły ze swojej strony wyrazić jej cześć swoją i uznanie, wyprawioną też została świetna uczta: obiad w najpierwszej tu restauracji, na który zaproszono przeszło dwieście pięćdziesiąt osób z dziedziny sztuk i literatury, a między niemi mieścił się minister oświecenia. Laureatka przybyła na zebranie ostatnia. Szczipła, niewielkiego wzrostu, płeć bardzo delikatnej, ma

duże, piękne oczy błękitne, a ubrana była bardzo skromnie, w jedwabnej sukni popielatego koloru, przecież wstęga krzyża Legii Honorowej dodawała tu blasku. Minister otoczony gronem sześciu pań, wystąpił na jej powitanie, na które odpowiedziała w wyrazach bardzo szlachetnych, że kocha sztukę swoją i jest przez nią szczęśliwą.

Obiad zastawiono w wielkiej sali; że wytwornym był, dodawać nie potrzeba. Po nad kartą, która spis potraw zawierała, a którą każdy z biesiadników znalazł przed sobą, widniała w zmniejszonym formacie kopia jednego najbardziej tu cenionego przez znawców obrazu laureatki: „La Vogue“, a przedstawiającego wieśniaczkę, która niosąc dziecko na ręku przebywa wezbrany strumień, z gór płynącego potoku. Pierwszy toast wzniosła na cześć laureatki kobieta, artystka też, M-me Delacroix Garnie; przemowa, która temu towarzyszyła, wykazywała nietylko wszystkie zalety pendzla tej, którą uczyć chciano, ale i szlachetność jej natchnienia, gorącą miłość Francyi, widniejącą we wszystkich dzieł jej przedmiotach. Odpowiedź była bardzo skromna, przecież błyskał w niej nieraz ogień zapалу i głos z razu cichy, jakoby przytłumiony wzruszeniem, rozbrzmiewał tak, że całe zgromadzenie mogło słyszeć wyraz każdy a dźwięk jego melodyjny podnosił wrażenie.

W imieniu Francuzkiego Towarzystwa Sztuk Pięknych ożwał się malarz Bouquereau, następnie od Zjednoczenia malarek i rzeźbiarek francuzkich przemawiała M-me Huillard, nakoniec wystąpił ojciec laureatki, którego głos drżał od wzruszenia i przemowa zakończyła się przytuleniem córki do piersi i złożeniem na jej czole gorącego pocałunku. Kawę czarną podano już na pierwszym piętrze; że było tu dużo młodych panien, młodych kawalerów, jedna z pań zasiadła do fortepianu i rozpoczęły się tańce, lecz liczba kobiet przewyższała liczbę mężczyzn, więc panny tańczyły ze sobą i była to jakby uczta w rodzinie. W ciągu wieczoru nadeszła depeza od prezydentki Zjednoczenia malarek i rzeźbiarek, donosząca, iż pani ta nieobecna w Paryżu, przesyła listowne zawodomienie, iż zręka się na korzyść p. Demont Breton godności swojej. „Jest to nietylko utalentowana malarka — pisała ta pani — ale w piersi jej mieszka natchnienie wzniosłe, pojmuje piękno przez harmonią szlachetną, w której tony wciela się czar uroków czystych.“

Jeszcze o jednej zacnej kobiecie wspomnieć mi należy. Panna już doletnia, Emilia Bonnefais, przebywając przez lato na prowincyi, spotkała się z rodzinami wędrownych kramarzy, którzy obchodzą wsie i miasteczka, dążąc tam, gdzie jarmark i odpusty zgromadzają ludzi. Tydzień, dwa, miesiąc czasem zatrzymują się oni na miejscu, aby znów jak legendowy wieczny tułacz dążyć dalej; dzieci z taborem całym na wozach wędrownych, bywają potem puszczone samopas i rozpróżniaczając się psują w najgorszy sposób, otóż przyszła jej do głowy myśl, że gdyby w miejscowościach takich dzieci znalazły miłosierne przygarńające je ochrony, złe mniejszem być by mogło i myśląc nad sposobem, jak by to mógł być użytkownym, postanowiła wnieść wędrowną również ochronkę, która by przyjmowała biedne maleństwo pod namiot, słońcy je nie tylko od soty lub upału, ale przyciągając za pośrednictwem dostarczanego im pożywienia, mogłaby zarazem oddziaływać przez nauki moralne, przez udzielane im lekeje czytania.

Na nieszczęście środki zacnej kobiety są niewielkie, gdy przecież małżonka prezydenta Francyi dowiedziała się o zamiarze, postanowiła wziąć też udział w dobroczynnym tem dziele i gdy przyłożyła się do niego znacznym funduszem, Emilia Bonnefais puściła się w drogę z całym taborem swoim, aby koczującą jej ochronką przyjmowała biedne cyganietta nowoczesnej cywilizacji podskrzydła swoje. Gdy jej ktoś dowodził, iż rzecz to jest niepożyteczna, bo niepraktyczna, odpowiedziała, że duch technie, gdzie chce — że zziarnka nasionek, które wiatr roznosi, wyrastają nieraz drzewa wspaniałe, pod których cieniem odpocząć może pielgrzym znużony.

Już to mimo wszystkiego co Francyi i francuzom dzisiejszym zarzucić można pod niejednym względem, nie brak tu nigdy ludzi pełnych za-



## MIASTO POGRZEBANE.

(Dokończenie).

pału i zdolnych poświęcać się dla ludzkości, dla idei. Do wybitniejszych i ogólnie szanowanych osobistości takich należy D-r Roux, człowiek nie tylko uczony, ale zasłużony wysoce przez pracowite skierowywanie tej nauki swojej do celów, któreby ujęły ludziom coś nędz, coś cierpień. Zajmuje się on przeważnie bakteriologią i zarządza instytutem Pasteur'a, z którym łączyły go stosunki ściśle, bo obaj wdzierali się z zapalem gorącym w ten świat niewidzialny dla profanów, który jednak istnieje obok nas i posiada moc silnego oddziaływania na ludzi. Rodem z Owerni, syn rodziny niebogatej wybił się niemal o własnych siłach na wierzch i stanął w rzędzie tych uczonych, których zasługi dla społeczeństwa nie są mniejsze od zasług owych rycerzy okutych w pancerz żelazny, którzy szli mężnie naprzeciwko kul i ostrzy mieczów. Porównanie to wygłosił D-r Roux na pierwszym wykładzie kursu bakteriologii popularnej, który ściągają tu znaczną liczbę słuchaczy a między nimi wiele kobiet, co go bardzo raduje, bo zdaniem jego kobieta nie tylko jako matka rodziny, ale jako gospodyni domu przedmiot ten znać powinna.

Jestto entuzjasta w swoim rodzaju i gdy mówić zacznie, oczy jego błyszcza, lice zbladłe od pracy rozrzedzają się gorąco a głos dzwiczny jak u młodzieńca, rozbrzmiewa głośno jak to miało właśnie miejsce z powodu wskrzeszenia tu niespodziewanie barbarzyńskiej zabawy — walki byków. Niejaki Maxymilian Lebaudy, bogaty właściciel ziemski z okolic miasta Nimes, pozwolił sobie na dziką tę fantazję, którą przecież wszystkie niemal dzienniki zganiły surowo, lecz D-r Roux rzucił mu odważnie rękawicę, bo wygłosił rzecz z katedry a grono pań francuzkich przesłało mu za to podziękowanie piśmienne. Brał w tem udział poeta i librecista wyższego rzędu, Juliusz Moreaux, który wkrótce obchodzić będzie jubileusz tysięcznego przedstawienia trzech libretto, do oper: „Mignon“, „Faust“ i „Wesele Janiny“, a wedle krążącej po Paryżu pogłoski ma to być uroczystość podobna do średniowiecznego wieńczenia bardów. Szlachetne, gorącym zapalem miłości Francji przeniknięte jego ody godne są tego, że przecież poeta bogatym nie jest, podniesiono myśl, aby składka narodowa zapewniła jego starości niezależne i spokojne istnienie.

Lękają się przecież, czy zechce to przyjąć, ale w każdym razie ta wdzięczność ogółu to hold, złożony szlachetnemu natchnieniu jego muzy, więc niewątpliwie miłym mu będzie. Aktem wyrażającym również cześć narodu był pogrzeb znakomitego pisarza w zakresie filozoficznym a zarazem ekonomisty, prawnika i męża stanu, Augusta Bourdeau, którego tytułem wobec Francji najwyższym jest przecież to, że był jej synem dobrym. Wyraz uszanowania ogółu zaznaczył się u jego trumny, ustawionej na wspaniałym katafalku w dziedzińcu wewnętrznym pałacu Bourbonów. Ściany otaczających go murów, pokryły czarne draperye kiru, na posągi rzucono zasłony krepowe, trójkolorowe sztandary w dół się zwieszają, przybywa prezydent Francji w gronie wielkich urzędników; stawa odkrywając głowę, choć mży deszcz zimny, przemowy wykazują, jak ten człowiek, który wkrótce stanie się prochem, był mężnym w walkach życia, jak pracował dla dobra Francji. Gdy kondukt rusza, toruje mu drogę oddział kirasierów a hymn żałobny rozlega się w powietrzu, za trumną postępują wicy dygnitarze państwa, posuwają się cztery wozy pełne wieńców. Na ementarzu Père Lachaise składają trumnę do grobu, żyły żony płyną strumieniem, płacze gorąco i synek dziesięcioletni, czy przecież może się tu znaleźć jakie tchnienie pociechy, którą jest nadzieja przez grobowy kamień nie przygnieciona, gdy nie ma tu znaku, przez który wiara ukaja boleść miłości—gdy nie ma tu krzyża...

L.

Deszcz gorących popiołów pokrył ziemię powłoką grubą na siedm do ośmiu stóp, potem zaczął się grad kamieni, rozpalonych do czerwoności i znowu chmury popiołów oslepiające oczy ludzkie, bo wicher niewypowiedzianie gorący pędził je na miasto nieszczęśliwe, które zostało pogrzebane pod ich czerwona, przyduszającą powłoką, która z wolna twardniejąc, kamieniała. Ludzie brali się w ciąg wieków na rozmaite sposoby przedostania się tu w głąb; przebijano twardą tę skorupę rozmaitemi sposobami, bogacono się nierazdo spuścizną nieszczęśliwych, których kości tam spoczywały, ale z wolna skamieniała lawa popiołów zaczęła się pulweryzować, roślinność ukazywała się wśród jej rozpadlin, korzenie krzewów, korzenie drzew przebijały się w głąb między kolumny pałaców i z wolna zapomniano, że miasto wspaniałe piękne, zamieszkiwane przez wysoce cywilizowaną ludność, spoczywa tam pod stopami nowego pokolenia ludzi.

W 1748 r. wieśniak, którego nie doszła już tradycya przeszłości, orząc pole wydobyl plugiem na powierzchni ziemi brązowy jakiś przedmiot i kopiąc głębiej już motyką, odkrył posąg kobiety—posąg Minerwy, a gdy rzecz się rozgłosiła, ludzie rzucili się do poszukiwania skarbów i połowa pogrzebanego miasta została tak wydobyta na światło dzienne, że odsłoniły się rzędy ulic z szeregi domów i pałaców, między którymi mogli teraz krążyć spokojnie i dostawać się do wnętrza mieszkań, do sklepów, gdzie ukazywał się oczom obraz życia zamarłej przeszłości. Odczytywano wyraźnie napisy na murach domów, odnoszące się do spraw miejskich, a które czerwonymi literami ukazywały się oczom tak wyraźnie, jak gdyby kreślono je kilka dni temu, a obok niektórych widniały dopiski przeróżne, które snać dodała ręka jakiegoś wesołego ulicznika.

Większą część przedmiotów drobniejszych przewieziono do Neapolu i złożono w muzeum, aby zabezpieczyć je przed zwiedzającymi, którzy często nie umieli uszanować tej spuścizny przeszłości, zostało ich przecież tyle, że obraz tego życia, nagle przerwane, przedstawić się może oczom w całej swej drobnostkowej nawet dokładności. W jednej z komnat widz ogląda naczynia pełne fig i innych owoców, beczułkę miodu, faskę maki, a szyld na froncie domu oznajmia mieszkanie piekarza. Narzędzia pracy niewieściej, druty, igielniki i tym podobne rzeczy wykazują, jak pracowały tu kobiety w rodzinie. Zwierciadła z polerowanych metali, przedmioty toaletowe, klejnoty i nieobliczona ilość różnych sprządek wytworzonych dowodzi, jak wyrefinowanym był układ ich życia. Krzesła z brązu, mają miękkie poduszki, obok tego mieszczą się sofy wielce wygodne i wytworne, wanny marmurowe, artystycznie piękne świeczniki, lampy, klucze i kłódki, ogrzewacze a wielka liczba narzędzi kuchennych wykazuje stopień cywilizacji. Złoty lancuszek, bransolety i kolczyki znalezione na szkieletcie kobiety w domu Diomedesa obok woreczka z drobną monetą, lecz najsmutniejszą pozostałością tego zaginionego z przed oczu ludzkich świata są szkielety w dziwnie bolesny sposób skurzone i wykrzywione, tak jeszcze jak wtedy, gdy w chwilach okrutnych tych walk z duszącym brakiem powietrza wili się nieszczęśliwi. Niektóre z pośród nich mają głowy otulone szalami, chustami najrozmaitszemi i znać, że umierali zrezygnowani a są tam i dzieci, sprawia to wrażenie niewypowiedzianie bolesne, bo nasuwa się na myśl pytanie to okrutne, czy opuściła je matka, czy też nie było jej między żyjącymi, aby ratując, uchwyciła dziecinę swą w ramiona?

Mnóstwo zagadek takich zostało uwiecznionych przez sztukę, obok wielkiej liczby pamiątek bolesnie wymownych i śladów życia, rozwoju cywilizacji, tego okrutnie w otchłań śmierci zepchnię-

tego społeczeństwa. Dobrano się niedawno w domu jednego z bankierów tamtejszych, niejakiego Caeliusza Jucudus, do sandałowej skrzyneczki, mieszczącej rewersa na wypożyczone pieniądze, które przecież był by niewątpliwie oddał za jedno pełne odetchnięcie świeżem powietrzem. Wielka kolekcya fresków została przeniesiona do Neapolu ze względu, aby zacieśnione powietrze podziemia nie uszkodziło ich a przedstawia się tu między innymi Pan w postaci na poły człowieka, na poły zwierza, grający na flecie tańczącym nimfom leśnym. Kupiayn, chlupiątko młodzieczne, ukazuje się tu w rozmaitych scenach wdzięcznie wesołych, a obok tego mieszczą się nieraz postacie zmieszanych ze sobą ludzi i bogów.

Ulises, Paris, Helena, Mars, Wenus tworzą grupy pełne życia i wesołej jego poezji, a nie brak tu i karykatur, oraz najrozmaitszych objawów wybuchających namiętności. Może pod innym niebem, pod innymi blaskami słońca przedstawiało by się to odmiennie i nie raziło tak zmysłu estetycznego, jak i poczucia moralnego, ale tu wśród winnic i gajów oliwnych, człowiek nastraja się inaczej, uroczą naturą przyciąga go do siebie i bierze niejako na łono swoje. Otaczają go mary, które są odbiciem łamiących się światła i cieni, nie tylko przecież ziemia ma przepaście, które pożerają przeszłość, są ludzie, którzy obojętnie zostawiają ją po za sobą, lecz wtedy schylek ich życia czyży jest i pusty, nie mają się gdzie uciec w chwilach bolesnej samotności i życie przedstawia im się jak miasta pogrzebane pod popiołami przeszłości.

## Krew i żelazo.

FERRATINA.

Jaki piękny karmia ożywia policzki i usta człowieka! Jest to wesoła barwa zdrowia i kwitającego życia. Cóż dziwnego, że znikanie jego, następujące często bez widocznej przyczyny, wcześniej już doprowadziło do badań nad barwnikiem krwi i do prób skierowanych ku zwalczaniu chorobliwego jego zmniejszenia się. Przekonanie, że ten barwnik jest identycznym i zawisłym od żelaza zawartego we krwi, a blednica polega na wadliwej naturze procesu przemiany pożywienia w krew, doprowadziło do wynalazku preparatów żelaza. Od bardzo dawnego czasu służyły one do usunięcia braku żelaza, drogą sztucznego doprowadzania tego metalu do organizmu. Liczba tych preparatów jest bardzo wielką. Dawano cierpiącym na blednicę czyste żelazo metaliczne jako proszek z mialko rozdrobnionych cząsteczek, w przypuszczeniu, że soki żołądka i przewodu pokarmowego przerobią metal na związki potrzebne dla naszego ciała. Uciekano się do różnych związków żelaza, do tlenków i soli, przygotowując preparaty z kwasem węglanym, fosforowym i roślinnym, mieszano żelazo z innymi preparatami leczniczymi, jak chlora, jod i brom, a nawet ze środkami pożywczymi, jak np. wino i czekolada. Osobniki niedokrwiłe i chore na blednicę jeżdżą do miejsc leczniczych i piją tam „wody“ w których *ferrum carbonicum* albo siarczan żelaza, a więc sole żelazne są rozpuszczone. Dla tych zaś co dalekich podróży odbywać nie są w stanie, przygotowuje się sztuczne żelaziste wody mineralne, które można pić nie wyjeżdżając z domu.

Ale jakkolwiek znaczną była liczba preparatów żelaznych, nie wystarczały one wymaganiom jakie im stawiano, wykazując zawsze złe strony. Sole żelazne mają działanie gryzące; przy dłuższym używaniu wywołują zaburzenia w działaniu żołądka, tak, że wielu chorych ich nie znosi. Przekonano się przytem, dzięki dokładnym badaniom, że używane zwykle sole żelazne nie zostają w zupełności zasymilowane przez organizm i zwykle wydostają się z ciała nie wszedłszy w krew.

Tymczasem chemia zrobiła postępy i poczęto przygotowywać nowe preparaty żelazne, które w składzie swym byłyby możliwie podobne albo



jednakowe z takimi połączeniami żelaza, jakie zdarzają się w organizmie ludzkim. W ten sposób ułatwić chciano przyjmowanie żelaza dla chorego organizmu. Łączono więc żelazo z materiami białkowymi, przygotowywano ekstrakty, w których znajdował się barwnik krwi zwierzęcej, zawierający żelazo. Gdy jednak i te środki nie zadawały w zupełności lekarzy, weszli oni na nową drogę.

Zdrowy człowiek otrzymuje żelazo, potrzebne dla jego ciała, w różnych rodzajach pożywienia. Jaja i mięso, pożywienia roślinne są bogate w żelazo, zawarte w nich w związku łatwo przyjmowanym przez ludzki organizm. Nie było przecież wiadomem, o ile obfitym jest ten metal w różnych rodzajach naszego pożywienia i z jakiego związku składa się codzienne przyjmowane w nich żelazo. To należało zbadać. Profesor Bunge wykazał, że żółtko jajka zawiera stosunkowo dużo żelaza; udało mu się otrzymać zeń materię, która zawierała żelazo, a którą nazwał „Hematogen“, t. j. „substancją tworzącą krew“, gdyż z niego powstaje krew kurcząca w jajku. Profesor O. Schmiedeberg w Strasburgu poszedł dalej; poddawał on próbom różne środki spożywcze i udało mu się otrzymać związek białka i żelaza z wątroby wieprzowej bogatej bardzo w żelazo. Związek ten nazwał *Ferratyną*. Jest to masa jasno-brunatna, zawierająca do 7% żelaza związanego organicznie z ciałem białkowym. Liczne próby doprowadziły prof. Schmiedeberga do wniosku, że ferratyna jest właśnie tym związkiem, jaki przyjmujemy w pożywieniu naszym i z którego tworzą się cząstki krwi, zawierające żelazo. Z początku odkrycie to nie dawało się zastosować w praktyce gdyż wątroba wieprzowa zawiera 5—6 gramów ferratyny, byłoby więc zanadto kosztownem otrzymywać ferratynę dla użytku chorych z organów zwierzęcych. Wspólnie z doktorem Pio Marfori rozpoczął prof. Schmiedeberg produkowanie sztucznej ferratyny i po całorocznych usiłowaniach otrzymał wreszcie preparat podobny do ferratyny naturalnej. Liczne próby jakich z nim dokonywano, dowiodły, że nie wywiera szkodliwego wpływu na żołądek i kanał pokarmowy i w każdym razie liczy się do najłagodniejszych preparatów żelaza z pomiędzy wszystkich znanych dotąd. Różni lekarze twierdzą, że środek ten okazał się użytecznym przy leczeniu blednicy, że ożywia nawet i wzmaga apetyt chorych. W porównaniu do podobnych związków z ciałami białkowymi wyróżnia się przez wysoki procent zawartego w nim żelaza. Wspomniany poprzednio hematogen zawiera 0,29% żelaza, ferratyna zaś 7%.

O ile wnioskować można z dotychczasowych doświadczeń, ferratyna jest istotnem wzbogaceniem naszego sposobu środków leczniczych, a także środków spożywczym.

Kto uprzytomni sobie związek odżywiania i tworzenia krwi, przyznać musi, że żelazo jest dla nas pożywieniem równie niezbędnem, jak białko lub tłuszcz. Czy pożywienie nasze zawiera dostateczną ilość żelaza? Na zasadzie dotychczasowych wiadomości na pytanie to odpowiedzieć można przecząco. Organizm zmuszony jest często do funkcji więcej ożywionych, w latach formowania się musi on np. wytwarzać więcej krwi niż po za tem. W takich wypadkach nie wystarcza naturalna zawartość żelaza w pokarmach, aby dostarczyć ciału koniecznych pierwiastków, tworzących krew. Wówczas można pożywienie uczynić więcej żelazistem nie przez dodawanie soli żelaznych, które z trudnością tylko albo wcale w krew wessane nie zostają, lecz przez środek zupełnie identyczny z naturalnem żelaznem pożywieniem człowieka. Zgodnie z poglądem różnych lekarzy nadzieja, że ferratyna w przyszłości nie tylko zwalczać będzie już

rozwinęta blednicę ale nawet przeszkadzać jej w utworzeniu się, jest zupełnie usprawiedliwioną. Jak tylko ukażą się pierwsze ślady niezadawalniającego odżywiania i tworzenia ciałek krwi u młodych, pozornie zdrowych ludzi, należy im podać ten środek. Ferratyna nie ma przykrego smaku i może równie dobrze służyć w postaci proszku, jak i tabletek podobnych do czekolady.

Musimy jednak podnieść, że w obecnej chwili ferratyna nie cieszy się jeszcze ogólnem uznaniem w kołach lekarskich. I tak, prof. Robert, na zasadzie wykonanych doświadczeń twierdzi, że nowy preparat nie jest identycznym z żelazem naturalnem, które znajduje się w wątrobie i że zostaje rozłożonym przez sok żołądkowy. Który z tych poglądów jest prawdziwym, przyszłość dopiero wykaże. Tymczasem jednak ferratyna, jak i każdy preparat żelazny, powinna być przyjmowaną tylko z rozkazu lekarza. Istnieje przecież cały szereg chorób i stanów osłabienia, przy których żelazo nie tylko nie pomaga, ale nawet szkodzi.

Można przecież z całą słusznością postawić pytanie, czy nie byłoby słusznem zapobiedz brakowi żelaza we krwi przez obfite dostarczanie środków spożywczych, bogatych w związki żelaza. Podobne leczenie blednicy stosowanem jest przez tatarów. W tem plemieniu koczowniczem każą chorym na blednicę spożywać kotewkę wodną (*trepá natans*), która, jak wykazały badania, bardzo obficie zawiera związki żelaza. Kotewka, która pierwotnym mieszkańcom Europy środkowej służyła za pożywienie staje się obecnie coraz rzadszą i już niemal nie używaną.

Co się tyczy naszych zwykłych środków spożywczych, to ilość zawartego w nich żelaza jest bardzo rozmaita. I tak np. w pokarmach roślinnych spotykamy następujące ilości żelaza: 100 gramów ryżu zawiera około 2 miligramów żelaza; 100 gramów pszenicy 4,5 do 5,5 miligramów, kartofle 6,4, groch 6,6, fasola 8,3, soczewica 9,3 miligramów. Z pomiędzy owoców jabłka wyróżniają się wysoką zawartością żelaza, gdyż w 100 gramach suszonych bezwodnych jabłek jest około 13 miligramów żelaza, w takiejże ilości szpinaku 32 do 39 miligramów. W litrze białego wina znajduje się 14 miligramów, w podobnej ilości czerwonego 23 do 24, a w litrze jabłecznika zawartość żelaza dochodzi nawet do 206 miligramów.

Z pomiędzy środków spożywczych, które pochodzą z państwa zwierzęcego, za obfitujące w żelazo uważać można mleko, jaja, wątrobę i krew. Co dotyczy mleka, to 1000 gramów, a więc około litra mleka krowiego zawiera tylko 3 miligramy żelaza, podczas gdy litr mleka z kłaczki (kumysu) zawiera do 15. W jajach, jak już wspominaliśmy żelazo znajduje się w żółtku.

Nie podlega chyba żadnej wątpliwości, że człowiek zdrowy czerpie potrzebny swemu organizmowi zasób żelaza z tych środków spożywczych, ale niestety dotąd nie wiadomo, która z tych substancji zawiera najłatwiej strawne związki żelaza.

Byłoby zaś pożądanem, aby w obec braku żelaza we krwi układać odpowiednie pożywienia dla chorych. Szpinak z jajami, potrawy z wątroby, zupy z krwi i kiszki z krwią byłyby przeto stosownymi potrawami dla ludzi chorych na blednicę i niedokrwistych.

Jakkolwiek pocieszającemi byłyby najnowsze zdobycze medycyny w przygotowywaniu preparatów żelazistych, choćby z odkrycia odnoszące się do zawartości żelaza w pożywieniu, cennymi się być wydają, nie zapominajmy, że same lekarstwa nie wystarczą, aby zwalczyć blednicę i podobne jej cierpienia. Zawsze będziemy zmuszeni używać przeciwko nim ogólnych środków leczniczych.

Blednica znana jest lekarzom od niepamiętnych czasów. U blondynek zdarza się częściej niż u bru-

netek, u ludów północy częściej niż u południowców. Wunderlich, słynny lekarz lipski był zdania, że spotyka się ją częściej w Niemczech południowych, niż w północnych. Czyżby na powstanie blednicy oddziaływały wpływy klimatyczne? Profesor Rosenbach we Wrocławiu zwracał niedawno uwagę, że pojawienie się blednicy zdaje się również być związanem z pewnymi porami roku, gdyż zwłaszcza w lecie wiele kobiet i dziewcząt na nią cierpi. Zauważył przecież także, że znaczna liczba chorych na blednicę, wychodzi z tej choroby tylko dzięki higienicznemu zachowaniu, nie używając preparatów żelaznych.

Istotnie nie powinniśmy nigdy zapominać, że brak żelaza w pożywieniu nie stanowi jedynej przyczyny blednicy. Przez nieodpowiedni sposób życia i inne podobne wpływy ciało traci siłę przetwarzania żelaza z pożywienia i zamieniania go na krew w dostatecznej ilości. Należy więc zmienić zachowanie się pacjenta, umożliwić mu używanie świeżego powietrza, podnieść odżywianie i ochraniać słabe ciało. Te środki lecznicze są nie mniej ważne od żelaza.

## Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż w ministerium oświecenia poruszono projekt utworzenia seminaryjów nauczycielskich przy wydziałach historyczno-filologicznych uniwersytetów. Powodem podniesienia tej kwestyi jest brak wykwalifikowanych nauczycieli w niektórych okręgach cesarstwa.

— W obec różnorodności zasad, jakimi się rządzi instytucje sądowe w sprawie opłaty stemplowej ministerium sprawiedliwości oddało całą tę sprawę do opinii i ujednostajnienia pierwszemu departamentowi Senatu, oraz departamentowi kasacyjnemu.

— Komissya specjalna, której oddano do opracowania projekt zapewniający byt skazanym do robot ciężkich, ukończyła pracę swoją i proponuje, aby wypłacano skazanym za każdą robotę pewne wynagrodzenie.

— W d. 22 b. m. odbył się w sali ratuszowej koncert na korzyść Przytułku starców i kalek pod wezwaniem Ś. go Stanisława Kostki. Zakład ten utrzymywany ofiarami osób prywatnych mieści 78 kalek.

— „Gazeta Kielecka“ donosi, iż drobne gospodarstwa podnoszą się coraz na wyższy stopień kultury; w powiecie miechowskim wiele nieużytków zamienilo się w pola orne, dobrze uprawione i obsiane, które wydają plon obfity. We wsi Czarkowa poszukiwania czynione za pomocą świdrowania wykazały zawartość rudy siarkowej na pięć milionów pudów. Znaczna ilość kopalni i hut daje ludności miejscowej możność zarobkowania. Miasteczko Stopnica urządza wodociągi, po Płocku drugie to jest miasto prowincjonalne, które mieć je będzie.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Rubikon**, przez E. F. Benson. Przekład z angielskiego ark. 4.

**TREŚĆ:** U końca roku przez M. Ilnicką.—Noc pasterzy, przez Kazimierza Glińskiego. — Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dokończenie).—Z Paryża przez L.—Miasto pogrzebane (dokończenie).—Krew i żelazo. (Ferratina).—Z bieżącej chwili. **Dodatek obejmuje:** Rubikon, powieść, przez E. F. Benson, przekład z angielskiego ark. 4.—Przegląd mód.—25 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycja stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.  
Дозволено Цензурою.—Варшава, 14 Декабря 1891 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.